

Pierna nasza Polska cała

19 PIR 19



Oplata ulszczona gotówką

Nr. 4 (27) Rok IV.

661



**MŁODY
KRAJOZNAWCA
ŚLĄSKI**

CENA POJEDYNCZEGO EGZ. 20 GR.

w. Lipp



SPIIS RZECZY

	Strona
1. Zielone Świątki na Śląsku	1
2. Zwyczaje majowe na Śląsku	2
3. Słowiańska osada bagienna w Biskupinie	3
4. Z wędrówki po psarskim Grójcu i jego okolicach	5
5. Historia figury „pod Maryjką” w Suszczu pow. Pszczyna	8
6. Z letniej wędrówki (ciąg dalszy	10
7. Odpust w Wielkiej Dąbrowce	11
8. Dr. Juliusz Rogier, lekarz biednych i zbieracz pieśni ludowych śląskich	13
9. Rozwój Gdyni	15
10. Katastrofy kopalniane na Śląsku w niedawnej przeszłości	17
11. Zwyczaje związane z Zielonymi Świątkami w okolicy Dąbrowki Wielkiej	19
12. Zagadnienia geograficzne w wycieczkach krajoznawczych 22	

SKRZYNNKA REDAKCYJNA

Kol. Iwanówna Teresa w Knurowie — artykuł umieścimy w późniejszym numerze.

P. Danielczykówna w Suszczu — artykuł umieścimy w następnym numerze.

Koło Kraj. Państw. Głównazjum w Rybniku — Za nadesłane artykuły bardzo dziękujemy i prosimy o dalsze. Przysława nadesłane przez kol. Zuzoka drukowaliśmy już w „Mł. Kraj. Śl.” w numerze 21 z czerwca ub. r.

KTO ZA MŁODU NIE OSZCZĘDZA,

TEGO PÓŹNIEJ CZEKA NĘDZA.

A TY?

CZY NALEŻYSZ JUŻ DO S. K. O.?

MŁODY KRAJOZNAWCA ŚLĄSKI

Wychodzi co miesiąc

Pisemko Szkolnych Kół Krajoznawczych Śląskich

Nr. 4. (27)

MAJ 1937.

Rok IV

TEODOR GOŁĄBEK
Państw. Gimn. w Rybniku.

Zielone Świątki na Śląsku

Po świętach Bożego Narodzenia i Wielkanocy obchodzimy najuroczyściej święto Zesłania Ducha Świętego, czyli Zielone Świątki. Wszystkie zwyczaje i obrzędy praktykowane w okresie świąt tych, noszą piętno radości i wesela. Kościoły, domy, podwórka ozdabia się drzewkami brzozy i jesionu, które zatyka się również przy ołtarzach, przy gankach i wrotach. Okna stroją wieśniacy pachnącym tatarakiem, a także zaścielają nim podłogi w izbach i dojściach do chat. Majowy zapach zieleni rozchodzi się po kościołach, chatach i obejściach. Na święta te przygotowuje się pieczywo, przypominające wielkanocne, choć mniej obfite. Niejedna gospodyni usiłuje przechować do świątek treściwą babę lub kilka nazurków ze „święconego“, szczycąc się wyborem ciasta, które pomimo 50-dniowego istnienia, nie straciło na smaku i świeżości. Zielone Święta przypadają na najpiękniejszy czas wiosny, gdy pogoda jest już ustalona, a natura w bujnym rozkwicie.

SOBÓTKI.

W mojej wsi Wielopolu pod Rybnikiem, zachował się częściowo

jeszcze zwyczaj palenia sobótek w obydwu dni Zielonych Świąt. Do obchodu sobótek robią już wcześniej pewne przygotowania. I tak przez cały rok składają w suchym miejscu zużyte miotły „skrobaki“, a w wigilię świątek przybijają je do żerdzi, tak samo jak zczerniałe snopki „skopciałki“, wyrywane ze starych strzech. Prócz tego robią pochodnie zwane „sobótkami“, przybijając do tyki wiązki słomy długości całego żdźbła, które okręcają szmatą i oblewają żywicą świerkową. Z tykami i żerdziami tymi wychodzą na pole, gdzie rozpalają ogniska z suchych gałęzi choiny i jałowca. Przy śpiewie i wrzawie, młodzież skacze przez ogień, tańcząc w koło ogniska. Dziewczyna, która z miejsca obiem nogami przeskoczy ogień, wyjdzie zamąż w tym roku. Od ogniska zapalają chłopcy, przygotowane „skrobaki“, „skopciałki“ i sobótki i biegną z płonącymi pochodniami w pierwsze święto „opalając“ pola żyta, w drugie święto zaś pola innych zbóż, podskakując przy tym i podrzucając pochodnie w górę. Obrzęd ten nazywa się opalaniem zboża i ma wpłynąć na dojrzewanie zboża i przyspieszenie twardnienia

ziarna. Na rzece Rudzie obchodzi ludność sobótki wraz z innymi obrzędami, związanymi z wigilią świętego Jana Chrzciciela. Przez cały ten dzień robi się wianki, umieszczone na małej deseczce, a w środku na gwoździu umieszcza się świeczkę. Wianki te wiąże się na długim sznurze i umocowuje się je do łódki, która wyjeżdża wieczorem

na staw. Łódek takich jest dużo i bardzo ładnie wygląda staw z takimi łódkami. Niekiedy kupuje się lampiony, które przymocowane do łódki na długich żerdziach świecą. Puszczają się też rakiety, które po wybuchu, w powietrzu zapalają się różnymi kolorami.

Wielopole, dnia 8 kwietnia 1937 r.

JÓZEF OŚLIZLOK

Państw. Gimnazjum w Rybniku.

Zwyczaje majowe na Śląsku

Z przełomowym miesiącem majem łączy nasz lud wiejski wiele zwyczajów, które razem z innymi, najlepiej świadczą o bogactwie kultury wiejskiej, a wartość posiadają tym cenniejszą, że są wyrazem tego, na co lud polski potrafił się sam zdobyć.

Ludność wiejska na Śląsku była zawsze bardzo religijna, zaś do osoby Matki Boskiej z szczególną oddnosi się czią, to też na majówce, (nabożeństwa majowe), jakie są urządzone w tym miesiącu codziennie na jej cześć, uczęszcza bardzo licznie. Majówki te urządzone są najczęściej na łonie przyrody, a jeśli się do tego zważy, że odbywają się one przy świetle księżyca i pooswiecanych przy ołtarzu świec, to zrozumieć jak blade w porównaniu z nimi, wydają nasze miejskie majówki urządzone w kościołach, gdzie świece są zastąpione przez żarówki elektryczne, cały zaś las przez kilka drzewek.

Pierwszego maja wieczorem lub drugiego, wczesnym rankiem, można zauważyć pięknie przystrojone drzewka na oknach lub przy drzwiach domów, umieszczone tutaj

przez młodzież, a przeznaczone dla swych wybranek. Można również zobaczyć, oczywiście trochę później, niektóre z tych drzewek umieszczone na gnoju, co ma oznaczać, że dziewczyna odrzuca ofiarowany jej dar. Ten to zwyczaj nosi nazwę „Moika”.

Wiele również zwyczajów łączy się z tym, że z końcem kwietnia i w maju rozpoczynają się prace rolnika w polu. I tak w celu dowiedzenia się, czy pora nadać się już do prac w polu, rolnicy wkładają do gnoju gałązkę brzozy i gdy ta rozwinię się dostatecznie w przeciągu kilku dni, uważają oni, że już czas, by ruszać w pole. Przy wywożeniu gnoju, świecą gnój wodą święconą, by plomy były jak najobfitsze. Rolnik, powracający po raz pierwszy z pola, bywa często oblewany wodą, na znak, by odtąd wcześniej wstawał i rażno ruszał do pracy w polu. Pastierce, wypędzające po raz pierwszy bydło w pole, daje się kilka ugotowanych jaj, którymi ona suwa po skrajach łąki, na której zwykle pasie bydło, po czym zjada je, pozostałości wkładając do kretowin. Jaja daje jej się po to, aby z uciechą pasła bydło, pozostałości zaś z jaj są

wkładane do kretowin, aby krety nie niszczyły pastwiska wykopywaniem kopców.

Na miesiące maj, czerwiec i lipiec przypada z zasady najwięcej burz, a w związku z nimi i grzmotów. Wieśniacy starają się odpędzić owe grzmoty i w tym celu wchodzą na szczyt domu i robiąc znak krzyża świętego w kierunku grzmotu, modlą się nabożnie. Do tego samego celu służą osobne dzwonki, którymi w czasie burzy, dzwonią i modląc się obchodzą dookoła dom.

Wszystkie te i inne zwyczaje są już niestety w zaniku, bowiem bardzo często ludność wsi wprost ich się wstydzi, nieświadoma, że te właśnie zwyczaje są podstawą rozwoju naszej przebogatej kultury narodowej.

Dlatego wszyscy powinniśmy dążyć do zachowania wiejskiej kultury, której owe zwyczaje są częścią: nie tylko do zachowania — **powinniśmy nawet dążyć do spotęgowania jej twórczych pierwiastków** tam, gdzie to jest możliwe.

C. M. BĘDZWAŁEK

Słowiańska osada bagienna w Biskupinie

(ciąg dalszy)

Te drewniane „mury” obronne budowane były z układanych na sobie okrągłych belek, tworzących jakby rząd skrzyń. Dla lepszego związania z sobą zaopatrywane były belki w nacięcia na skrzyżowaniach. Na zewnątrz cała ściana muru podparta była potężnymi słupami, pionowo wbitymi w ziemię.

W czasie rozkopywań stwierdzono, że takie drewniane wały obronne budowano trzykrotnie. Najstarszy z tych wałów, najdalej wysunięty na północ, uległ zniszczeniu przez fale jeziora i zachowały się z niego tylko same podwaliny. Po jego zniszczeniu zbudowano nowy wał, odsunięty od brzegu, około 2.50 m szeroki, który na znacznej przestrzeni uległ zniszczeniu przez pożar, jak na to wskazują zwęglone belki. Został on następnie zastąpiony trzecim wałem, nieco węższym, najlepiej do dziś zachowanym. Dla ochrony brzegu przed falami i dla uniknięcia katastrofy podmycia wału, wzmocnio-

no brzeg wbijanymi pionowo w dno jeziora belkami, które miały za zadanie powstrzymywać na sobie napór fal wzburzonego jeziora. Ten falochron tworzy w niektórych miejscach — a przede wszystkim w północnej stronie półwyspu, gdzie napór wód musiał być najsilniejszy — bardzo szerokie pasmo, złożone z 11 rzędów pali.

Bardzo pomysłowy jest sposób budowy tego falochronu, — podobnie jak i zdziwienie w nas musiał budzić sposób budowy wejść do chat, które były zbudowane tak, jakby naszym przodkom była już znana zasada załamywania się promieni świetlnych, tak tutaj znowu natrafiamy na znajomość załamywania się fal morskich, która to znajomość w sposób zapewne intuicyjny, czy na podstawie długich doświadczeń, odkryta, została zastosowana przy budowie falochronu. Słupy, na jakie najpierw natrafiała fala, biegnąca od jeziora w stronę półwyspu były węż-

sze od następnych, głębiej wbitych w ziemię, tworząc przez to rodzaj zagłębienia wraz z wznoszącymi się stopniowo coraz wyżej słupami, przylegającymi do brzegu. Fala biegnąca, wpadając w to zagłębienie i natrafiając na opór ze strony wysokich pali przybrzeżnych, załamывała się, tracąc wiele na swej sile i odpływała z powrotem, nie wyrządzając szkód.*

Nie cały falochron zbudowano naraz. Najstarszą jego część reprezentują dwa rzędy pali znacznie niższych od reszty, oddzielonych od nich wolną przestrzenią. Najwidoczniej niski pierwotnie łamacz fal podwyższono i podniesiono na skutek podniesienia się ogólnego poziomu jeziora.

Teraz będę musiał omówić, opierając się na podstawie wykopalisk i wniosków, jakie się łączą z nimi, jakie były losy tej prastowiańskiej osady w Biskupinie. Wobec gęstego zabudowania osady i stykania się domów szczytami, wybuchające tu pożary musiały szerzyć straszne spustoszenia. Ślady takich pożarów widzimy w wielu chatach, a także w środkowym wale ochronnym. Po pożarze odbudowywano dom na tym samym miejscu, nie usuwając całkowicie szczątków dawnych ścian i podłóg. W niektórych miejscach można zobaczyć obok siebie podwójne odrzwia, słupy narożne i łątki śródścienne, pochodzące z dwóch różnych domów, zbudowanych kolejno po sobie na tym samym miejscu, a nieraz widzi się nawet szczątki trzech chat ponad sobą. Jeszcze groźniejszym jednak żywiołem, zagrażającym ciągle mieszkańcom były wzbierające wody jeziora. Obok krótkotrwałych powodzi wiosennych, zalewających czasowo osiedle lub przynajmniej powodujących przeciekanie od dołu wody gruntowej, można sądzić, że poziom

wód jeziora w ciągu trwania osadnictwa ciągle wzrastał. Dowodem tego stałego podnoszenia się wody w jeziorze są podwyższone podłogi wielu chat, szczególnie w niższej położonej północnej części półwyspu. Widzimy tu często dwie podłogi ponad sobą, oddzielone warstwą ziemi od 30 do 50 cm, oraz po dwa ogniska ponad sobą, a tak samo spotykamy tu podwójne nawierzchnie drewniane na drogach. Z reguły przy tym zarówno w domach jak i ulicach warstwa dolna zbudowana jest solidnie z grubych bali dębowych, warstwa górna zaś ułożona jest mniej starannie, jak gdyby w pośpiechu, zazwyczaj z ciężkich drągów brzozowych.

Dowodem dalszym tego zalewu, który zmuszał mieszkańców do podwyższania podłóg chat i poziomu ulic, jest rozmyty przez wodę najstarszy wał obronny, o czym wspominałem na początku tego artykułu. Wszystkie te zabiegi nie pomogły widocznie jednak, bo wobec stałego wzrostu poziomu wody w jeziorze trzeba było w końcu zdecydować się na opuszczenie osady. Widocznym jest, że kiedy zakładano osadę, poziom wody w jeziorze musiał być znacznie niższy, niż obecnie, chociaż z drugiej strony teraźniejsza powierzchnia jeziora jest znacznie niższa niż była przed paru jeszcze laty, opadła bowiem w związku z pogłębieniem koryta Gąsawki, przepływającej jezioro, oraz z powodu kilkuletniej suszy. Dalszym dowodem, że dawniej niższy był poziom jeziora jest fakt, że ogniska licznych chat w dolnej części półwyspu znajdują się nawet obecnie poniżej poziomu wody gruntowej, a ostatni rząd domów przy północno - zachodnim brzegu półwyspu, wraz z częścią wałów obronnych i falochronem spoczywał pod wodą jeziora i mógł być zbadany dopiero po odgródeniu tej części

jeziora zapora nieprzepuszczalna. Jak dalece zaś poziom jeziora wzrósł pod koniec istnienia osady widać stąd, że osada została zamulona warstwą szlamu jeziorowego dochodzącą do 1 m grubości. Tak daleko, jak sięgała woda pokrywająca dolne części chat i wałów, oraz drogi, tak też zakonserwowały się w wilgotnym gruncie części budowli. Reszta natomiast, wystająca ponad wodę i ponad nanieiony piasek i szlam, narażona na wpływy atmosferyczne, uległa zniszczeniu. Katastrofa, która wypędziła naszych przodków z półwyspu stała się więc dobrodziejstwem dla nauki, podobnie jak wybuch Weze-wiusza, który zniszczył Pompeję i Herculanium.

Cóż można powiedzieć o ustroju społecznym, panującym wśród mieszkańców grodu biskupińskiego? — Niezwykle planowe założenie osiedla, zbudowanego według jednej myśli przewodniej, wyglądające nieledwie tak, jakgdyby obmyślił je nowoczesny urbanista, dalej te potężne umocnienia brzegu i potrójne wały obronne, wzniesione wspólnym, kar-nym, wysiłkiem, wskazują na istnienie silnej władzy naczelnej, która

umiała sobie zapewnić posłuch bezwzględny. Można też wnioskować, że domy, ich urządzenia i inwentarz żywy, były własnością indywidualną mieszkańców, już dawno wyłączoną ze wspólnego władania. Na to samo wskazuje też istniejący w osadzie wyraźny podział pracy w postaci różnych rodzajów wykwalifikowanych rzemieślników - specjalistów (o czym mówiłem już w I-szym artykule). Zaznaczały się też prawdopodobnie pewne różnice majątkowe wśród ludności osady, chociaż nie mogły one być zbyt duże, jak wynika chociażby z prawie zupełnie równych wymiarów domów, z których żaden dotąd nie wyróżnia się szczególnie dużymi rozmiarami. Istnienie zabawek dziecięcych, jak: grzechotki, figurki ptaszków, gwizdawki i małe naczynka, świadczą o miłości, z jaką odnoszono się do dzieci. O wierzeniach religijnych na podstawie tego, co dotychczas znaleziono przy pracach wykopaliskowych nie można nic pewnego, ani nawet przypuszczalnego powiedzieć, gdyż brak do tego wszelkich źródeł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POTEMPA.

Z wędrówki po psarskim Grójcu i jego okolicach

Jako — już się oblekosz? Czyśmy już na miejscu? No — no — bier-płaszcz i oblekej się — koferki narych-tuj, bo do Kalet niedaleko, fabrykom już ćuć. Jako — o fabryce godosz? Czyby tu w tym cichym lesie mogły jakie fabryki być? Ach widzisz Fran-cku! Dyć zech ci jeszcze dotychczas nie nie opowiedział o fabrykach kale-

ckich. Ale czekej — zaraz ich som będziesz widzieć, własnymi oczami, bo leżom blank przy kolei. Koło nich jeszcze srogo piła. Mosz prawie Jon-ku! Bo coś tak głupie ćuć. Dyć Fron-cku! Ten paskudny smród z tej laugi, co we fabryce potrzebujom do wyrobu roztomatego papieru, grubszego, cień-szego, no rozmaitego. No! doczekaj

— doczekaj zaraz bydziesz widziół — już my bez Małapanew przejechali. — Widzisz — widzisz już dojeżdżomy. Sam — to ta nowo fabryka, zaś tam, to staro fabryka, Haniuk obok tam, to piła, coch ci to padoł. No Jonku, to wcale nie mała fabryka. — Ale tego drzewa wiela tu leży? To drzewo Froncku, to bydzie rżniynte na trzochy, potym w laugach warzone i coś więcej, dokładnie ci jednak nie mogą pedzieć, jak się to robi, boch tam sóm nie robiół. Jak by cie to jednak interesować miało, jak sie papier robi, to ci u nos w domu opowiedzieć mogom. Gotów już? bo zaraz wysiadomy. Ach w moich rodzinnych stronach, wykrzyknął Janek, wszystko jest jeszcze jak było. Pódz uwij się. — Pociąg stanął. Pomiędzy wysiadającymi mi, których naogół niezbyt dużo było, kroczyło obok siebie dwóch szczupłych młodzieńców, przyzwolicie ubranych. Na pierwszy rzut oka zaraz po nich można było poznać, że jednemu z nich okolica znana była dobrze, bo orientował się szybko na dworcu. Ten drugi zaś napewno po raz pierwszy zwiedzał te strony. Nie długo jednak bawili na dworcu i zaraz ruszyli w dalszą drogę. Francek, który faktycznie poraz pierwszy zwiedzał ową okolicę, stawiał Jankowi przez drogę, mnóstwo pytań, na które mu Janek chętnie i z całym zapałem i dumą odpowiadał, i objaśniał szczegółowo każdą sprawę, każdą drogę, gdzie która z nich prowadzi. Przez cały czas podziwiał Francek las, przez który prawie już przez pół godziny szli, a który mu się wydawał precudnym i nieskończonym. — Ach! Jonku — Dużoś mi jednak opowiadał o tej naszej ojczyźnie i o twoich rodzinnych stronach. Ale jedno to ci powiem, że słowami twymi nie mogłeś mi jednak tego tak pięknie opowiedzieć, jak to jednak sóm widza. Już sóm dworzec mi sie bardzo podoba. I ci ludzie widać tu blank lńksi sóm, jak tom w Niemczech. — Bo widzisz — żoden nos tu nie zno, a jednak nos tu już tela

razy. drogom pozdrowieli. Przede wszystkim podobało mi się tych dwóch chłopców, kórzy nos tak starym zwyczajem pozdrowili. Wierz mi jeszcze teraz słysza dźwięk tych słów. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! „Nie! tego Jonku nigdy nie zapomna! No Francku - jeszcze tu niejedno bydziesz podziwiół — odpowiada mu Janek. Dobrze ćwierć drogi dopiero momy za sobom Francku. Teraz skęcymy na lewo na ta główna szosa, która prowadzi z Królewskiej Huty do Lublińca. Może nom sie też jako furmanka trefi, któraby nos zabrała. A — doczekaj! Jedzie tam ktoś za nami. Może go też byda jeszcze znać. Wto wie? Czekaj ino. — Gdy ich furmanka dojechała odezwał się Janek radośnie: A toż to Bartnicki Mikołaj. Ot Mikołaju! Skąd to jedziecie? Zabierzcie nos, bo napewno jedziecie ku chałupie! Na toć ku chałupie! — na to stary — i konie zatrzymał. No siodejcie — Popatrzył na nich trochę i pyta się ich — a coście to za jacy? Dokąd to chcecie? — Do Babinic gospodarzu! — Co do Babinic? Kogół tam macie? Krewnych czy znajomych? Bo jo też z Babinic, i znomy sie prawie jeden z drugim na wsi — odrzekł im wolnym głosem starzec. Jo — odrzekł zaś Jonek, jada do dom do ojców, a on — pokazuje na Franka — jedzie ze mnom. Jako do ojców? — Czyj żeś to jest? — Hanuloka Bartka! — O Jezusie! znomy sie dobrze z nim. Mieszko on za kapliczkom. — A toś ty ty? coś to tyła lot we świecie był? — pyta go starzec. Ano dyć byłech — odpowiada Janek — aże ośm lat. No i jeszcze bych może nie wrócił, ale wiecie mi sie już tam nie podobało w tych pierońskich Niemcach. Robił ech tam na grubie cały czos. A z nim wiecie — pokazuje na kolegę swego — toch sie nojlepi kolegowo! no i robili mi tyż razem.

Ale jakech ta robota strzelił, to też i zaraz Franek postanowiół ze mnom jechać. On wicie Mikołaju —

ciągnął dalej Janek — Polska bardzo mało znó, choć się w Polsce urodził. Ale czekejcie Mikołaju, bo jak my się tak szykownie trefieli, a żeście nos zabrali, to kropnemy się po jednym i zwracając się do Francka mówi: dej tam ino ta flaszka z tego kufra. W czasie tym, gdy się naprawdę napił, i cygara zapalili, minęli wieś Piasek i dojeżdżali do zakrętu, gdzie po prawej stronie stoi ładny dwupiętrowy gmach. Naprawdę ładny, z czerwonych cegieł, z wysokimi oknami i ładnym dachem, pokrytym czerwonymi dachówkami. Nic dziwnego, że na widok ten z podziwem chwytając starca Janek woła: „Mikołaju! powiedzcieżmi co to za willa? Ej, to szkoła polsko, synku — odpowiada starzec dumnie. A czy jej jeszcze nie było w tym czos, gdyś odjeżdżał? Bo szkoła ta stoi już dość pora lot. Co już dość pora lot? — ze zdziwieniem pyta się Franek — dyć wygląda ona jak nowo. Hm — na to starzec — co na wsi to nie w mieście, kaj kominów tela, że ich bieda porachować, a z których się smyndzi jak z piekła. Ale słuchej Jonku, — ciągnął dalej starzec — czemuście się nie wzięli biletów aż do Psor. Jako nie rozumiem wos Mikołaju — odparł szybko Jonek. Do Psor bilety my mieli wziąć? Ha, a jakże — mówi starzec — czy ty nie wiesz o tym Jonku, że tu mamy nowo kolej? „Co prawie, była już planowana za Niemca. Ale plan jest planem, — Dopiero się teraz za Polski do niej wzięli i jom wybudowali. Leci ona z Kalet, bez Trzebin: Psory, Lubszo, aż do samych Woźnik, tak że już teraz wszystkie wsi som powiązane z kolejom, i żodem nie musi tyrać dwie godziny i wymyć na cug, jak to dawni było. Doczekajcie! Dali za zakrentem sami jom bydziecie widzieć. Ale to nie wszystko jeszcze co zrobione zostało zacem ciebie nie było. Drugo tako kolej też leci bez Strzebin, mijo Koszęcin, i Lubliniec, tak, że już do Poznania bez Niemce żoden jeździć nie musi. A szosa to widzisz jako fajno

momy — równiutko jak stół, i to cało szosa asfaltowo. A wiesz przy tej szosie my dość grosza zarobili — bo woziło się materjał i pioch, no i ludzi ze wsi dość sporo przy ni robiło. A chałupowych — co tu teraz mamy, — ani się nie poznosz we wsi. A to wszystko piękne chałupy, murowane — padom ci. Gdy furmanka skreśliła na psarską drogę i las już minęli, Franek z wielkim podziwem pyta się starca: Powiedźcie mi ojciec — cóż to tam na prawo za tako piękno i wysoko góra, cało lasem pokryto? — A synku dyć to nasz stary Grójec, na którym bioło panna pokutuje i czeko wybawienia. Ale ty to tam nie znosz. — Mocie prawi, że nie znom tego — odparł starcowi Janek — ale czybyście mi tego nie opowiedzieli? Czy to mo coś wspólnego z legendom? A jużci chłopcze! O Grójcu już nasi przodkowie opowiadali, i opowiadać o nim bndom póki Grojec Grojcem bydzie. No to słuchej. — Prawiom ludzie tak. — Ale słuchejcie, czekejcie ino że przerwia wam, — przerywa Franek — pociągnymy się przód po jednym, a wam też bydzie się napewno lepiej opowiadać. Gdy się tak gościnnie poczęstowali i zgaszone cygara znówu zapalili — poczał starzec opowiadać. Doczekajcie ino niż napoczyna o Grójcu opowiadać, to pokaże jeszcze przód coś nowego. Widzicie tam od Bożej Męki napoczyna się owo szosa, też asfaltowa, która prowadzi przez Berghof, między Łazami i Babinicami na Bornów aż do Poznania ffort. A ruch tu na tej szosie — żebyś wiedział — możesz się pomyśleć! Bo szosa ta wiąże Śląsk z Poznańskim, tak jak dwie sąsiednie wsi. A jakie znaczenie ona ma, a jako wygoda z nióm, — no, to chyba prawić ci nie musza. — No ale wróćmy do Grójca. Tóż słuchejcie! Miało to być tak. Przed setmi latmi Psory były jedne z największych miast Śląska. Dopiero, jak prawiom, Tatory, czy Husyty, albo jak ich tam nazwano, bo to już prawie nie boczna, mie-



li między innymi Psory zawojować, wyniszczyć i wypolić te psiejuchy. A tam haniuk na tem Grójcu, na samem wierzchu mieszko sobie pen z całym swym dworem. Miał być wcale nie złym panem, a przedewszystkiem miał być bardzo bogobojnym i pobożnym. Prawie codziennie jeździł w karecie z kobietom swojom do kościoła do Lubszy. A kościół nasz w Lubszy to już stoi bez 600 — lot, musicie wiedzieć i jest tam dużo pamiontek w nim. Zás dwa razy do tydnia nawet to jeździł szlachcić z kobietom aż do Częstochowy. Frasiunków im tam jednak nie brakło. No — bo wiecie mieli oni ino jedna córka i to nie bylejako. Miała być jucha nadzwyczajnie mondro i urodno. Ale coś z tego, kej do kościoła z nimi nigdy je-

chać nie chciała i nie jechała. Co nie leda jaka swoda i hałas wywołać miało. A wiecie dlaczego nie chciała jucha do kościoła z nimi jechać? No — bo zapatrzala się na jednego z pachotków swoich, za kerym też jak sie ino ojcowie ze domu ruszyli, wciąż uganiała. Ojcom zaś, gdy jom do kościoła namawiali, wykrencała sie, że mo dużo roboty, i to sztikowanie, wyszywanie i różnych takich babskich robót. Miało to tak iść dość pora lot. Roz jednak bardzo rozgniewało to szlachcioczka. Bo co nie mogła, to nie mogła freli swej namówić do wspólnej jazdy kościelnyj. Oburzona szlachcioczka uporem swego dziecka tak się rozgniewała i rzeknąć miała razu jednego przy wyjeździe te słowa:

(c. d. n.)

CZAJA JÓZEF
Suszec.

Historia figury „pod Maryjką” w Suszcu pow. Pszczyna

Przechodząc wzdłuż i wszerz śląską krainę, spotykamy wielką ilość kapliczek, figur, rzeźb i krzyży przydrożnych. Mało kiedy jednak zastanawiamy się nad powodem ich wybudowania; mało wiemy o przyczynie ich powstania, a wogóle żadnej wiadomości nie mamy o ich twórcach. Bardzo ciekawą jest nieraz geneza tych na ogół niepozornych kapliczek, czy też figur. Każda prawie kapliczka jest ośrodkiem, na około którego osnuta jest jakaś baśń, legenda, lub podanie. Źródłem skąd możemy czerpać wiadomości dotyczące tych kapliczek są starsi ludzie, którzy nieraz jeszcze pamiętają narodziny kapliczki, lub też z ust swoich przodków znają okoliczności jej wybudowania. A każde opowia-

danie sędziwego staruszka rozpoczyna się mniej więcej w ten sposób: „Na pamiątkę, że tam zabił się człowiek” albo „W tym miejscu, gdzie dzisiaj stoi figura dawniej straszło i...”.

W podobny sposób rozpoczął opowiadanie jeden ze suzeckich gospodarzy i przedstawił mi w nim przyczynę powstania figury, którą lud okoliczny nazywa „Maryjką”. Będzie już temu przeszło 130 lat, mówił gospodarz, kiedy leśniczym w lasach księcia pszczyńskiego był niejaki Jan Lukas. Ten to Lukas jest związany ściśle z historią figury „Maryjka”.

Pewnego razu wieczorem wyszedł Lukas do lasu i kroki swe skierował w stronę wsi Kobióra. W międzyczasie nadeszła wielka burza.

Niebo pokryło się ciemnymi chmurami i lunął rześisty deszcz. Leśniczy nasz szukając schronienia, przed deszczem przystanął pod dużym świerkiem. Tymczasem burza rozpełtała się na dobre. Deszcz z gradem sieki niemiłosiernie. Błyskawice raz po raz przerywały ciemności, a gromy cały las napełniały okropnym hukiem. Wiatr początkowo słaby zmienił się teraz w istny huragan. Wielkie kilkudziesięcioletnie drzewa kładły się jak małe krzaczki w objęcia huraganu. Gromom zawtórowały huki walących się olbrzymów - drzew.

To wszystko widzi i słyszy Lukas. Wydaje się mu, że chyba koniec świata nadszedł, że chyba wszystkie moce piekielne wyteżyły swe siły, by zniszczyć świat. Naszemu Lukasowi włosy stanęły na głowie i tchu mu zabrakło w płucach; widzi, że tu przyjdzie mu zginąć pod walącymi się pniami drzew. Jedyny ratunek widzi w Bogu; usta jego zaczynają szeptać gorącą modlitwę. Ale burza nie ustaje, lecz przeciwnie jeszcze z większą zawziętością i siłą uderza w las. Coraz częściej kładą się olbrzymie drzewa. Już obok Lukasa runęło drzewo, drugie z przeciwnej strony się na nim położyło. Nie wytrzymało naporu burzy i to drzewo, pod którym stał Lukas. Zachwiał się olbrzym, korzenie zaczęły trzeszczeć i chwilę później, głuchy jęk ziemi zwiastował, że i on podzielił los swych towarzyszy. Zdawałoby się, że pod ciężarem walących się gałęzi i pni zmiażdżony został leśniczy. — Stało się inaczej. Rozpętany żywioł oszczędził leśniczego; wyszedł on bez szwanku z tej całej opresji.

Burza minęła, a niebo przybrało swój pogodny kolor. Lukas nie może się z miejsca ruszyć — nogi odmówi-

ły mu posłuszeństwa; w głowie ma chaos. Nie może sobie on uprzytomnić, jakim cudem wyszedł cało z tej opresji. Gdy się tak głębiej zastanawia nad tym faktem dochodzi do przekonania, że tylko Opatrzność Boska wyratowała go od śmierci. Przejęty tym wszystkim, co zaszło, przychodzi do domu i opowiada to zdarzenie. Żona i dzieci z zapartym tchem słuchały opowiadania ojca, a gdy on skończył jednogłośnie podały wniosek, by Panu Bogu w jakiś szczególny sposób podziękować za wyratowanie ojca z nieszczęścia. Postanowiono więc na miejscu, gdzie szukał Lukas schronienia przed burzą, wybudować figurę Matki Boskiej. Niedługo po tym stanęła na miejscu owym figura Matki Boskiej.

Figura ta stoi 50 m w bok od drogi prowadzącej przez las z Braniczy do Kobióra. Cała ta figura łącznie z podstawą i filarem dochodzi do 3 ½ m wysokości. W jej budowie można wyróżnić trzy zasadnicze części: Podstawą czworokątną, na niej stoi okrągły filar, a dopiero na filarze umieszczona jest figura. Figura przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku. Na okrągłym filarze jest winieta, która tworzy rodzaj tabliczki, na której w krótkich słowach przedstawione jest cudowne wyratowanie Lukasa. Treść mniej więcej jest następująca: Dzieci Lukasa zwracają się do Matki Boskiej z podziękowaniem za wyratowanie ojca i przyznają, że gdyby nie Jej pomoc ojciec nie żyłby. Podana też jest data tego wypadku 24 listopada 1807. Ząb czasu bardzo zatarał ślady pisma i teraz tylko z trudem można odcyfrować kilka wyrazów.

Figura ta do dziś dnia jest w wielkim poszanowaniu wśród ludności okolicznej.

WILUSZÓWNA
Miejskie Gimn. Żeńskie
Chorzów.

Z letniej wędrówki

(ciąg dalszy.)

W pochmurne, lipcowe popołudnie, drogą wiodącą z Haczowa do Rymanowa, jedzie na trzęsącym wozie 12 drухen.

Okolica śliczna — tu lasy, tam pola, chatki w ogródkach i daleki widnokrąg zamknięty potężnie zarysowanym łańcuchem gór.

Z ponurych chmur zaczyna padać drobny deszczyk. Druhenki nakrywają się kocami i płaszczami (są nawet dwa gumowe), bo to średnia przyjemność zmoknąć w chłodny wieczór. Kończy się jednak na przyszłowiowym małym deszczu z dużej chmury.

W mroku nadchodzącej nocy dojeżdżamy do Rymanowa - Miasta. Tu odrazu znaleźli się życzliwi ludzie, przez których dostajemy nocleg w szkole. Jest to ładny, duży nowoczesny budynek, znajdujący się niezbyt daleko od rynku. W jednej z sal ścielimy sobie słomiane łóża i kładziemy się na dobrze zasłużony spoczynek. Miejsca skapo, więc drухny leżą jak śledzie w beczce. A niech no która odważy się zająć trochę więcej miejsca, zaraz na nią wszystkie wsiadają: „Ty hrabino, może ci łóżko przynieść!” — Rano budzimy się, a tu deszcz, jak za dni potopu. Trzeba więc siedzieć na miejscu i zabijać czas załatwianiem korespondencji i nudami. Około południa zamknęły się upusty niebieskie, więc zaraz wybieramy się na zwiedzanie miasta.

Ludność w przeważnej części żydowska — cały handel w jej ręku. Ma ona tu swą bóżnicę, budynek ła-

dny i porządnie utrzymany. W pobliżu rynku znajduje się kościół i poczta. Poza tym w mieście nie ma żadnych osobliwości.

O trzy mniej więcej kilometry od miasta leży wśród lasów szpilkowych Rymanów - Zdrój. Piękne wille, łażienki, wszystko skapane w ciemnej zieleni. Życie Rymanowa skupia się na deptaku. Tu jest źródło solanki, którą kuracjusze z nabożeństwem popijają, — (większa część drухen orzekła, że ta solanka to ostatnie świństwo) — orkiestra umila muzyką przechadzkę. Znajdujemy tu także bazar Zakładu Michała Archanioła z Miejsca Piastowego. Można w nim kupić bardzo ładne wyroby skórzane. Na uboczu stoi śliczny, choć nieduży kościół.

Rymanów - Zdrój jest własnością hr. Potockiego. Rokrocznie urządza on tutaj „Dzień Pracy”. Wtedy okoliczna ludność przynosi potrzebne materiały i przez cały dzień pracuje. Robota idzie bardzo szybko i trwa tylko jeden dzień. W ten sposób n. p. wybudowano dom gminny i chodnik z miasta do źródła. Po skończeniu pracy stawia się na pamiątkę krzyż. Ludność odnosi się bardzo życzliwie do „Dnia Pracy”, choć czasem chłopci z dalszych wiosek, nie rozumiejąc jego znaczenia, odnoszą się doń wrogo.

W drugim dniu naszego pobytu w Rymanowie chcieliśmy odwiedzić hrabiego, gdyż on zawsze rad wszystkim wycieczkom, ale hrabia długo śpi, a nas czekała droga do Iwonicy.

Sześć i pół kilometra idzie się przez wspaniałe lasy, to szpilkowe, to liściaste, pokrywający niewielkie wzniesienia. Czasem napotyka się strumyczek, który zabarwiony nieco naftą, świadczy o jej obecności w tym terenie. I rzeczywiście po drodze spotykamy kilka szybów. Szyb taki jest zbudowany z drzewa, a wewnątrz niego znajduje się maszyna pompująca ropę do dużych kadełek. Niema nikogo, kto by nam dokładnie wszystko objaśnił, więc trzeba mniej więcej rzucić na to okiem i drałować dalej.

Do Iwonicza dochodzimy już dość starannie utrzymaną alejką, bo tu lubią spacerować kuracjusze. Zdrojowisko, wydało nam się ładniejsze, i jakieś weselsze niż Rymanów. Ładny deptak, na białym otynkowane (drewniane) pensjonaty w obramowaniu zieleni, pokrywającej stoki wzgórz, to wszystko oświetlone słońcem, jest weselsze, niż ukryty w

lesie, a nawet wilgotny, choć bardzo ładny, Rymanów. Wody podobne i w jednym i w drugim zdrojowisku, a więc szczawio-słono-alkaliczno-jodowo-bromowe. Specjalnością Iwonicza są kąpiele piankowe, wpływające bardzo dodatnio na ciśnienie krwi.

Największym budynkiem, obok wielu ładnych pensjonatów, jest sanatorium „Excelsior”, wybudowane wielkim kosztem przez hr. Załuskich, obecnie własność Z. U. P. S.

Osobliwością zdrojowiska jest źródółko „Bełkotka”. W jednym jego rogu wydobywa się gaz, który można zapalić, a wtedy wydaje się, że to woda się pali. O „Bełkotce” Wincenty Pol napisał wierszyk, który obecnie można przeczytać obok źródółka.

Niedługo jednak zabawiliśmy w tej miejscowości i znów brzęczący wóz jechał z nami w inne strony.
(c. d. n.)

WOJCIK JÓZEF.

Odpust w Wielkiej Dąbrowce

Dzień za dniem mija, a odpust się zbliża. Wszystkie dzieci gromadzą się pyniondze, aby w tym dniu pomyśleć o zabawie. Każdemu tyła myśli przeleci bez głowy o tym łodpuszczu, że nie wiesz, której i jaki myślisz dać piysze miejsce. Wszyscy patrzą na siebie, jak najlepiej zaopatrzyć się w pyniondze, a sam i takie karłuse, co z nikim nic nie dostanę, więc się umawiają jakieś plany, w których nierozumie jest dobrze łobmyślano kradzież, czy kradzieże. Trzy dni przed łodpustem naszyjdzdo się karasoli i bud belejakich i pocynamy o wszystko stawiać. Kupi dzieci się przyglondo tyj robocie, jakby chcie-

li się tego nauczyć. No i karasole stoją gotowe. Karasolnik próbuje, czy wszystko dobrze idzie. Po kwili karzuje wszystkie stołki pozajmować, bo pojadom na próba za darmo. Toż to dopiwo wrzawa i ryki, jakoby ze cyrkusa wszystkie lwy powypuszczył. Jedyn drugi go ściepuje, bo łonby chciał się przewiys. Elektryczny karasol ruszył. Wszyscy siedzą w tych stołkach i radują się, a wrzescem łokropnie. No, ale już się konsekskończył. Wyleźli wszyscy ze stołków. Jednym się zdało, że się świat krynci, inksymu zasik, że do nieba leciol — opowiadają swoje wrażenia.

Przećca przychodzi już tym łod-

pust. Niechtóre dzieci już spać nie mogły, bez to, jak zazwonyło ło pionty na „Anioł Pański”, łone chyc z łózka; i dali sie łoblykać, aby pryn-dzy widzieć tyn ruch uliczny. Przo-dzi lecom na ulica, kaj budy stawia-jom, a potym znowu do dom i tam rozmyślam nad dzisiejszym dnym. Tymcasym wszyscy już powstali, a wieś cołko co roz to barzy się łoży-wio. Wszyscy pojedli sie kołoca, cy krepki, bo na takie śwynto to nice-go nyy brakuje.

Suma. Zwony bijom, zwołując wszystkich. Ksiondz mo piykne koza-nie, po kozaniu Mszo św. z asystom i wystawiniym, a po' nabożynstwie prosacyjo. Kościół przepełniony tak, iże az na dworze stojom. Po sumie koždy leci wartko na łobiod, bo tam mamulka zrobiyli coś dobrego — ko-tlety, cy inse rzeczy. Na łobiod tak sie niychtorzy napchajom, iże na niesporze musom wychodzić z koś-ciola. Niespory urocyste z Magnifi-katem i prosacyjom jak na sumie.

Po niesporach zacyno sie praw-dziwy, ale już nyy łodpust, ino roz-pust. Ulice gwarne. Morze głów. Hałasy nyy do łopisanio. Tyn kupu-je bal, inksy łorganki, inksy makro-ny i najroztołomaitse inse rzeczy. Ka-rasole jezdżom i grajom. Tam zasik „Jakub” przechwało swój towor, ka-jndzi cyrkus wystąpił na aryna dło reklamy. Koždy pokazuje swoje za-lyty, jeden siyła, drugi inne sztucki itd. Patrza, a tam dali kupa dzieci stoi. Jo jest ciekawy i ida łoboczyć, co sie tam robi. Gorolka tam stoła ze fyrtałymi, a na niym pełno figu-rek. Jo tys chcioł sprobować scyfi-ścio, no i pytom sie, cy se mogą fyrtknąć, ale ino tak na próba. Wte-dy ta gorolko pedziała: Jedyn spro-bował i musioł sie łożynić. Wszyscy starsi zacynoli sie sy mnie śmioć, a jo nyy wiedzonc, co to mo być, po-sołech dali. Dycki zaś napotkołech

taki młynek, co wata robiył. Kupi-łech se tys ty waty boch chcioł sie dowiedzieć, jak to smakuje. Na ro-gu ulicy stoła buda - strzelnica. Szczyłołech ło bombony. Jedyn szczał kosztował ceski. Wygrołech 8 bombonów. Nad siedym, pod sie-dym, w siudymka, 3 razy tyka — po-siysołech zdala. Przyglondom sie grze i wzynta mie chyntka do gra-nio. Wygrołech dwa ceskie i jako nyy gupi, poszołech. Zaś ćwierтка pierników padom. Piykne moment-fotografije — usiysołech. Mom tam tego w doma jak siana — pomyśło-łech i ida dali. Losy, losy — rozleł sie głos wele mego ucha. Wcałech nyy mioł zamiaru grać, no wiync po-sołech dali. Na tretuarze stoł jedyn pon, co mioł roztołomaitse rurki, a w nich woda jakoś. Josech sie dowie-dzioł, iże to taki niby dochtór z ba-dacami nerwów, serca, płuc itd.

Dzień sie chyli. Wieczór dodaje łodpustowi prawdziwy, piykności. Karasole łoswiyczone, w budach kar-bitki i inne światła, ale jo piyndzy jużech nic nyy mioł, wiync musza iść do dom.

Patrza, a tam policyjo goni chop-ców, pewnie musieli cosik ukras. Ale ci spryciorze wartko sie skryli miyndzy ludzi i już byli bezpieczni.

W nocy tylko hahary śpiywajom, a psy iym wtorujom wyciem. Rano pełno papiorów na ulicy i wszelkie-go rodzaju gatunku śmiecia, tam roz-bito figura, a miyndzy śmieciym i forsa sie trefi. Długo potym łozpra-wiomy ło tym łodpuscie.

— — — — —
„Łodpust, piękne śwynto, dzieci,
Kozdy sie na to raduje,
A jak sionecko zaświyci,
Ze łożeczka wyskakuje.

Wszystko zjy, co zjeś wypada,
Potym idzie na ulica,
A choć nawet dyscyk pada,
Nyy robi żodnym różnice.

Bawiom się ludzie wesoło,
Majone dużo forsę z sobom,
Pijom i tańcujom wkoło,
Po tym wszyscy idom do dom.

Chopcy kupujom ślaskpaki,
Kozdy lo swy narzecony,
Makrony, pierniki, ślaki,
Szekulady i bombony“.

Dr. Juliusz, Rogier lekarz biednych i zbieracz pieśni ludowych śląskich

Znaną ogólnie jest rzeczą, że lud górnośląski posiada stosunkowo bardzo bogaty zbiór polskich piosenek okolicznościowych, śpiewanych niegdyś przez naszych przodków z okazji uroczystości weselnych, chrzestnych i innych sposobności. Mimo, że są one spuścizną po naszych pradziadach, — pieśni te byłyby jednakowoż niechybnie poszły w zapomnienie, gdyby nie pilne i umiejętnie zbieranie tychże przez ludzi kochających śpiew i obyczaje nasze.

Jednym z tego rodzaju przyjaciół ludu śląskiego, obok Józefa Lompy, Gałusa i innych — był Dr. Juliusz Rogier, przyboczny lekarz księcia raciborskiego w Rudach (dzisiejszy Śląsk opolski).

Juliusz Rogier był z rodu Niemcem, a urodził się w dniu 28 lutego 1819 r. w Niederstotzingen w Bawarii, jako syn urzędnika hrabiowskiego. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych oraz studiów filozofii i medycyny w Augsburgu, piastował dr. Rogier krótki czas urząd asystenta lekarskiego w szpitalu augsburskim.

Kiedy w roku 1847, na zamku rudzkim, niedaleko miasteczka Raciborza, wakowała posada lekarza przybocznego księcia raciborskiego, objął ją dr. Rogier, przybył na Górny Śląsk, zyskując w niedługim czasie wśród okolicznej ludności sławę dzielnego lekarza. W obcowaniu z ludem, interesując się bardzo dźwiękiem mowy polskiej, dr. Rogier szybko przyswoił sobie znajomość języka polskiego. Właśnie w owych

czasach grasował na Górnym Śląsku groźny w swych rozmiarach tyfus głodowy, dziesiątkujący ludność w straszliwy sposób. To też olbrzymią pracę miał tutaj dr. Rogier, niosąc swą wiedzę lekarską ludowi śląskiemu. Mieszkanie dr. Rogiera wciąż było obleżone przez lud ubogi, szukający pomocy w różnych chorobach. Szlachetny ten mąż każdej chwili gotów był spieszyć z pomocą do cierpiącej ludności okolicznych wiosek, nie żądając od ubogich nigdy zapłaty, — przeciwnie często hojnie rozdawał on datki pieniężne na zakup potrzebnych rzeczy, używając przy tym własnych dochodów lub przyznanych mu przez rodzinę książęcą środków.

Przez urządzenie zbiórki publicznej doprowadził dr. Rogier do powiększenia szpitala w Pilchowicach, a również przyczynił się on do fundacji sierocińca w Łyskach, w którym znalazło przytułek 79 dzieci, pozbawionych opieki rodzicielskiej.

Palącą potrzebą od dawna okazał się brak szpitala dla kobiet na Górnym Śląsku. To też dr. Rogier, odczuwając tę potrzebę najbardziej jako lekarz, postanowił wybudować gmach taki w pobliskim miasteczku Rybniku. Jednakowoż plan ten był trudny do wykonania z uwagi na brak pieniędzy. Od ludności śląskiej, naówczas jeszcze bardzo ubogiej, wiele pomocy spodziewać się nie mógł. Dzielny ten człowiek jednak nie stracił odwagi i przez nieustanne zbieranie datków na ten cel wśród

swych licznych przyjaciół i znajomych, do których pisywał niezliczone listy, zdołał on nareszcie plan swój urzeczywistnić. Rozpoczęto więc budowę gmachu szpitalnego, obliczonego na pomieszczenie 130 łóżek. — Był to jak na ówczesne stosunki obszerny budynek. Nie doczekał się jednak dr. Rogier otwarcia szpitala, który od jego imienia nazwany został szpitalem św. Juliusza, gdyż otwarto go dopiero w cztery lata po śmierci fundatora, a mianowicie w dniu 8 kwietnia 1869 r. Przy zakładzie tym ustanowiono siostry zakonne, które dziś jeszcze spełniają swe obowiązki w charakterze pielęgniarek.

Dr. Rogier był również badaczem przyrody (a mianowicie roślin). Również stworzył on obfity zbiór owadów, w ilości 400 różnych gatunków znachodzących się na Śląsku. Kilka pożytecznych dzieł naukowo-przyrodniczych stanowią jego dorobek naukowy.

Największą jednak pilność i staranność rozwijał dr. Rogier — przy zbieraniu wzgl. gromadzeniu piosenek ludowych polskich. Nie zrażał się on możnym chodzeniem od wsi do wsi, od domu do domu, ale zbierał z oryginalną namietnością nasze pieśni ludowe. Wszędzie, bądź w polu, bądź w lesie kazał sobie wykladać pieśni i piosenki, spisując je sumiennie, w pracy tej pomagał mu wiele razy znany działacz narodowy Józef Lompa z Lubszy. Nadwornym zaś kapelmistrzem księcia raciborskiego dorabiał do pieśni tych nuty, kazał sobie poszczególne pieśni śpiewać ludności wiejskiej. W ten sposób powstał okazały zbiór pieśni i piosenek polskich w liczbie 546, z których niewątpliwie olbrzymia część poszłaby w zapomnienie. Pieśni i piosenki te wydał dr. Rogier w r. 1862 we Wrocławiu, jako książkę o objętości 271 stron p. t. „Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku”. Pieśni te odzwierciedlają uczucia ludu śląskiego w różnych sytuacjach życiowych. — Wyrażają one smutne i radosne usposobienie ludu.

Zbiór ten wywarł na Niemcach wielkie wrażenie, a nawet kilku wybitnych poetów niemieckich, jak Hoffmann v. Fallerleben i inni — wielką ilość pieśni z tego zbioru przetłumaczyli na język niemiecki. Również kilkakrotnie — zostały one wydane w języku niemieckim, zaś w czasopiśmie niemieckich wielbiono urok i bujność poezji ludu śląskiego.

Dr. Juliusz Rogier, wielki miłośnik ludu śląskiego, jego zwyczajów i pieśni, zmarł w dniu 7 stycznia 1865 r. nagle, tknięty apopleksją w czasie polowania w lasach książęcych w pobliżu Miasteczka (dzisiaj zwane Kieferstädtel) w powiecie gliwickim. Przez przeciąg długich lat lud śląski żałował śmierci tego szlachetnego człowieka, zachowując po nim niezatartą pamięć. Był on bowiem nie tylko jego szczerym przyjacielem, ale i dobroczyńcą. Lud śląski, który w owych czasach przechodził dużo cierpienia potrzebował człowieka, który wnikał w jego duszę, rozumiał jego cierpienia i niósł mu pomoc wszystkimi swymi siłami. Ponadto dr. Juliusz Rogier złożył jeden dowód więcej polskości ludu górnośląskiego.

Zwłoki dr. Juliusza Rogiera spoczywają na cmentarzu w Rudach, mieszczącego się w uroczym zakątku przy lesie. Na grobie jego wznosi się pomnik ufundowany przez księcia raciborskiego, w miejscu zaś, gdzie zmarł dr. Juliusz Rogier nagłą śmiercią, a mianowicie w lasach powiatu gliwickiego, wystawiono mu tablicę pamiątkową.

Kilka piosenek ze zbioru dr. Juliusza Rogiera:

I.

:- Na tym raciborskim moście,
Piękną karał rośnie :-

:- A pod mostem biały kwiatek,
Kołysała dwoje dzieci :-

:- Kołysała i płakała,
Na miłego narzekała :-

:-: Jest to ciężki kamień młyński,
Jeszcze cięższy stan małżeński :-:

:-: Kamień młyński się obróci,
Stan pamięński już nie wróci :-:

II.

:-: Za Raciborzem siedem mil, :-:
Tam mi się łączka zieleni. :-:

:-: A na tej łączce leszczyna,
Pod tą leszczyną dziewczyna. :-:

:-: Złote włosiczki chesała,
Nad miem bardzo płakała. :-:

:-: „Oj włosy, włosy złociste,
Wielbieniem Jasia byłyście! :-:

:-: Jasiak w świat odszedł daleki,
Któż mnie wyrwie z mej udreki? :-:

III.

U mej matki rodzonej,
Stoi jawór zielony.

Pod jaworem łóżeczko,
Leży na niem serduszek.

Leży, leży, choruje,
Do miłuśki wskazuje.

Przyjdź dziewczeczko, przyjdź do mnie,
Przynieś ziółka lekuj mnie.

Jakóż Cię mam lekować,
Gdy nie umię ziółka znać?

Idź dziewczeczko do gaju,
Przynieś ziółka z rozgaju!

Ona do gaju poszła,
Jużci za nią dwa posta:

Wróc się miła do domu,
Wiozą Jasia do grobu.

Ono do dom biegała,
Włosy z głowy targała.

O Jaśku, mój klejnocie,
Chodziłam se we złocie.

Teraz muszę w żałobie,
Rok sześć niedziel po tobie!

BOLESŁAW POLKOWSKI

Rozwój Gdyni

Nie podobna wskazać innego miasta w Polsce, gdzieby wykonano tyle i w tak krótkim przeciągu czasu, co w Gdyni. Jakby pragnąc odrobić błędy i zamiedbania, których dopuściła się Polska przed wielkimi, wszystkie rządy odrodzonej Polski i cały Naród ze zdwojoną energią zabrały się do twórczej pracy na morzu. Postarajmy się ten ogrom pracy przedstawić.

Gdy żołnierz polski w szary dzień lutowy 1920 roku stanął nad brzegiem Bałtyku, Państwo Polskie stało się właścicielem 146 km brzegu morskiego i kil-

kunastu wiosek rybackich.

Wrogi stosunek Gdańska i głębokie zrozumienie potrzeby posiadania portu własnego, zdecydowały o powstaniu Gdyni.

Jakiż musiał być nakład pracy i pie-niędzy, gdy po 10 latach Gdynia stała się portem na miarę europejską, w roku 1933 prześcignęła stary Gdańsk, a w roku 1934 stała się pierwszym portem na Bałtyku.

Trudno wymienić wszystko, co w porcie zrobiono — rzucamy tutaj tylko kilka cyfr: baseny portowe zajmują po-

wierzchnię 320 ha, obramowano 15 km betonowych nadbrzeży, wybudowano 40 magazynów, 75 dźwigów portowych i urządzeń przeładunkowych. Ileż budynków, dróg i mostów, torów kolejowych, wszelkiego rodzaju urządzeń portowych zostało wykonanych. Przybywają do Gdyni coraz to nowe firmy handlowe, przemysłowe, bankowe i t. d.

Obrót towarowy w roku 1936 osiągnął cyfrę 7.743.000 ton towarów. Ażeby sobie tę cyfrę uplastycznić, powiedzmy, że równa się ona około 15-tu tysiącom pociągów towarowych.

W związku z obrotem towarowym rozwija się ruch okrętowy. W roku 1927 do portu zawinęło 542 statków, a już w roku 1936 — 4.911 statków. Przez Gdynię przechodzi 46% ilości i wartości handlu zagranicznego Polski, a więc prawie połowa towarów, będących przedmiotem zagranicznego obrotu towarowego Polski idzie przez Gdynię.

Obok wciąż rozrastającego się portu powstało miasto portowe. W roku 1920 Gdynia była skromną wioską rybacką, odwiedzaną przez letników, liczącą zaledwie kilkuset mieszkańców. Powstanie i rozbudowa portu ściągała tu nad morze liczne zastępy ludzi pracy, których liczba z roku na rok wzrasta. W roku 1926 Gdynia liczy już 12.000 mieszkańców, w roku 1931 — 30.000, w roku 1933 — 48.000, w roku 1935 — 75.000, wreszcie obecnie, na początku roku 1937 liczba ludności przekroczyła 100 tysięcy. Tak kolosalnym rozwojem nie może poszczycić się żadne miasto nie tylko w Polsce, lecz i zagranicą. Obszar

Gdyni w roku 1926 wynosił 6 km. kwadratowych, dziś wynosi już 66 km. kwadratowych.

Przybywająca do Gdyni ludność musiała znaleźć dach nad głową. Dziś liczba budynków w Gdyni wynosi przeszło 7.500. W okresie trzech ostatnich lat wybudowano w Gdyni przeszło 1.000 nowych budynków, kosztem przeszło 25 milionów złotych. Kosztem kilkudziesięciu milionów złotych wybudowano w mieście i porcie blisko 100 km ulic zabudowanych, przeprowadzono przeszło 100 km sieci wodociagowych, około 50 km sieci kanalizacyjnej, około 20 km sieci gazowych, wreszcie przeszło 250 km sieci elektrycznej. Zbudowano również kilkanaście gmachów szkół powszechnych i budynków miejskich, buduje się obecnie halę targową i rzeźnię. Trudno to wszystko wyliczyć. Taki jest obraz Gdyni dotychczasowej. Ale to jeszcze nie wszystko, Gdynia bowiem jest w połowie drogi do swej doskonałości, gdyż nie jest ona dotąd portem handlowym w pełnym słowa tego znaczeniu. Brakuje jej jeszcze przemysłu i handlu na wielką skalę. To też być może, niedługo będziemy patrzeli na dzisiejsze rekordy portowe Gdyni z pewnego rodzaju ironicznym uśmiechem, gdyż obecny plan robudowy przewiduje, że Gdynią w najbliższych kilku latach dojdzie do 250 tysięcy mieszkańców.

Zanim to jednak nastąpi, trzeba będzie jeszcze dużo pracy i dużo pieniędzy włożyć, ażeby doprowadzić do pełnego rozkwitu przyszłej wielkiej i pięknej Gdyni.

STANISŁAW LUBECKI.

Katastrofy kopalniane na Śląsku w niedawnej przeszłości

(ciąg dalszy).

V.

KATASTROFA W CHORZOWIE W PRZEDDZIEN PLEBISCYTU.

Minęły lata. Nadeszła historyczna pora wiosenna r. 1921, w czasie której lud śląski przygotowywał się do rozrachunku plebiscytowego ze swym wielowiekowym ciemnocą. Gorączkowy ruch wyborczy panował wówczas na Śląsku, a zwłaszcza w Chorzowie, wszak w dniu 21. marca lud śląski miał się oświadczyć, że pragnie drogą głosowania wrócić do swej Macierzy — do Polski. W środowiskach pracy, w głębi kopalni, w hutach przy żarach ogniowych i przy innych warsztatach pracy nie opowiadano o niczym innym jak o tej wielkopomnej chwili.

W takiej chwili, smutnej sławy kopalnia „Krug” w Chorzowie, kilkanaście dni przedtem, ponowna, grozą przemijającą katastrofą zatracić miała opinią Chorzowa i pograżyć go w żałobie. W dniu bowiem 5 marca 1921 r. postradało życie 11-tu dzielnych górników w kopalni, wskutek zatrucia gazami.

W dniu tym kilkunastu górników, a mianowicie: śp. 1) Bie-niek, 2) Widuch, 3) Rak, 4) Skąta, 5) Wołczyk, 6) Gogolok, 7) Drynda, 8) Stempor, 9) Zadlok, 10) Żyłka, oraz jeszcze jeden nieznanego nazwiska (nie-mał wszyscy znani działacze plebiscyto-wi) — po ukończeniu swej dziennej pra-cy, otrzymali od swych przełożonych po-leczenie pozostania na t. zw. w gwarze śląskiej „bajszychcie” (praca w czasie nadgodzin), celem wykonania pilnych robót, które podczas dniówki nie mogły być wykonane, a mianowicie kładzenia

szyn, zwożenia stempli dla ochrony stro-pów i t. p. prac. Górnicy ci pracowali w jednym z tylnych oddziałów, oddalo-nym o kilka kilometrów od szybu głów-nego, w kierunku Dębu, w głębokości około 80 metrów. Po ukończeniu wyma-ganych prac, górnicy zadowoleni z wy-wiązania się ze swych zadań, zabierali się wszyscy razem do domu. W okolicy głównego przekopu (ganku) — gdzie w czasie dniówki końmi zwożono we wóz-kach węgiel z całego oddziału w kierun-ku windy, — znajdowała się tama, zbu-dowana z drzewa, a oblepiona staran-nie gliną i wapnem. Była to jedna z lic-znych tam, którymi zamyka się oddziały kopalniane, nawiedzone gazami trujących. Otóż właśnie w tym mniejwięcej czasie, gdy górnicy po skończonej pra-cy, schodzili drabinami 6-tym szybikiem w dół, aby dostać się do główne-go przekopu, — naskutek nadmiernego nagromadzenia się gazów nastąpił wy-łom w tamie i rozpućtane gazy gęstym czadem rozprzestrzeniły się po głównym przekopie i okolicy. Szczególnym zbie-giem okoliczności gazy parły w kierunku VI-tego szybiku, zatrzymując nawskroś powietrze. W tej chwili z szybiku tego wychodzili nieszczęśliwi górnicy, aby głównym przekopem udać się pod win-dę. Po przybyciu do zatrutej strefy, ni-czego nie przeczuwający górnicy, zas-koczeni nagłym tchnieniem śmierci, — wszyscy kładli się pokotem na ziemię, tracąc natychmiast przytomność.

Mimo, iż w stosunkowo krótkim czasie zaalarmowane zostały oddziały

ratunkowe, które zatamowały przede wszystkim śmiertcionośny otwór w prze-grodzie i pospieszyły na pomoc do zagrożonego oddziału kopalni, — nie udało się sztuce lekarskiej nieszczęśliwych ofiar swego zawodu wydrzeć z paśczy śmierci. Przez oddanie smutnego sygnału „ciągnąć ludzi” wydobyto ich windą na powierzchnię i zawieziono do szpitala Spółki Brackiej w Chorzowie. Stamtąd też po kilku dniach wielotysięczny orszak pogrzebowy — udał się na cmentarz parafii św. Jadwigi, gdzie ciała dzielnych górników złożono we wspólnej mogile. W pogrzebie wzięła udział również brać górnicza z zagłębia dąbrowskiego z własną orkiestrą na czele. Zarząd kopalni ufundował na gro-bi poległych piękny nagrobek.

VI.

KOPALNIA ŚCIGANA PRZEZ NIE-SZCZĘŚLIWE FATUM.

Kopalnia „Hildebrandt” w Nowej Wsi, w pow. katowickim, — przed kilku laty szczególnie bywała ścigana przez nieszczęśliwy los, który każdorazowo wymagał ofiar w ludziach. W kopalni tej bowiem, założonej około roku 1902, z powodu jej znacznej głębokości (600 metrów) i stosunkowo wysokiej temperatury, — walka z ciemnymi mocami przyrody jest szczególnie utrudniona.

Już w r. 1908 w kilka lat po uruchomieniu kopalni, nawiedził ją wielki pożar, który spowodował znaczne szkody materialne. Tylko dzięki okoliczności, że pożar powstał w niedzielę i kopalnia wtenczas nie była w ruchu, — obyło się bez ofiar w ludziach. Dopiero po upływie kilku miesięcy udało się pożar zlokalizować.

Następna katastrofa wydarzyła się tejeż kopalni w czasie wojny w roku 1917. Wtedy to na skutek zawalenia się sztolni, zabitych zostało 12-tu górników, przeważnie reklamowanych przez zarząd kopalni z frontu, którzy

uszedłszy śmierci lub kalectwa na wojnie, stali się ofiarami swego zawodu.

Straszne nieszczęście nawiedziło kopalnię w dniu 16. sierpnia 1929 r. Katastrofę poprzedził wybuch pyłu węglowego o godz. 7.45 rano na pokładzie „Gerharda” w głębokości 600 metrów. Na skutek wybuchu zapadł się chodnik a oddziały ratunkowe nie mogły wobec tego dojść do miejsca, gdzie znajdowały się ofiary katastrofy. Dopiero po uprzątnięciu rumowisk, co było połączone z wielkim niebezpieczeństwem, bo groziło dalsze zawalenie się chodnika, wyciągnięto 16-tu zabitych i 6-ciu rannych. Siła eksplozji była tak wielka, że blok, ważący 18 cetnarów, odrzucony został na odległość 50 metrów. Akcję ratunkową wszczęto pod kierownictwem dyr. kopalni Józefioka. Na miejscu katastrofy pojawili się przedstawiciele Urzędu Górniczego z Król. Huty, oraz Wyższego Urzędu Górniczego z Katowic. Nazwiska zabitych, wyciągniętych z pod zwalów węgla i kamienia brzmią: Józef Cieślak, Roman Jaszik, Józef Kauf, Ludwik Kciuk, Rudolf Szweda, Ewald Wojtyczka, Władysław Kosełka, Józef Serafin, Jan Kilka, Franciszek Dawidziak, Grzegorz Wieczorek, Emanuel Bieniek, Jerzy Ceglarek, Maksymilian Cebula, ponad to Brunon Bubala i Stefan Daniel.

Na miejscu katastrofy przed kopalnią, wśród nagromadzonej ludności rozgrywały się wprost dantejskie sceny. W odstępach po kilku godzin raz po raz wóz ambulansów odwoził szczątki górnikowi wydobytych z kopalni do kostnicy szpitalnej, — częstokroć poszarpanych i popalonych.

Wypadek ten tak wstrząsnął opinią publiczną, że zainteresował się nim prokurator i sprawa znalazła się w Sądzie okręgowym w Katowicach, w październiku 1930 r.

W dniu 11 listopada 1929 r. na szybie Hildebrandt runęła do szybu winda, która na skutek uderzenia całą siłą wryła się w dno szybu, oraz pociągnęła

za sobą drugą winę, która spadając po wyciągnięciu jej ponownie w otchłań, zatrzymała się dopiero w połowie szybu. Tylko dzięki okoliczności, że załoga nie była czynną, ofiar w ludziach nie było.

W niedługim czasie po owym wypadku, — bo w dniu 20 marca 1930 r. na skutek zawalenia się stropu zasypanych zostało 4-ch górników; w tym 2-ch zabitych i 2-ch rannych.

Wreszcie w dniu 25 sierpnia 1930 r. mieszkańcy Nowej Wsi i Kochłowiec — odczuli około godz. 12-tej w południe gwałtowny wstrząs ziemi, na który, jednak nie zwracali zbytnej wagi, gdyż w ostatnim czasie tego rodzaju trzęsienia ziemi zdarzały się dość często. Wstrząs ten jednakowoż był zapowiedzią nieszczęścia kopalnianego, które wydarzyło się w kop. Hildebrandt. Mianowicie w oznaczonym czasie załoga pokładu „Gerharda” usłyszała gwałtowne uderzenie i silny podmuch powietrza, od którego pogasło dużo lamp. Górnicy w panice uciekali w kierunku szybu wyjazdowego. Niedługo jednak potem, dobiegła ich wieść, że cztery sztolnie i dwa filary uległy zapadnięciu na przestrzeni 120-tu metrów. Zawalenie nastąpiło w oddziale IV-tym, w miejscu, gdzie poprzednio częstokroć zdarzały się pojedyncze wypadki nieszczęśliwe, i gdzie w chwili katastrofy pracowało około 280 ludzi, między nimi

starsi, doświadczeni górnicy.

Prace ratunkowe również i w tym wypadku były bardzo utrudnione, gdyż na całym obszarze załamało się zabudowanie i w dodatku jeszcze obrywał się w dalszym ciągu strop. Wreszcie oddziały ratunkowe dotarły na miejsce wypadku po przez jeden stary, dawno już nieużywany ganek i wyratowały 9-ciu ciężko rannych górników. Pozostali 6-ciu znajdowali się pod olbrzymimi zwałami kamieni tak, że dopiero po dłuższym czasie udało się ich wydobyć, — niestety wszystkich nieżywych.

Pokład „Gerharda” w kop. Hildebrandt szczególnie jest niekorzystnie położony, gdyż bezpośrednio nad nim mieści się pokład bardzo kruchego piaskowca o grubości od 40 do 50 metrów. O ile więc nastąpi, jakieś małe załamanie się stropu, — kruchy kamień pęka i załamuje się na większych przestrzeniach. Następują wówczas owe groźne i nadto dobrze przez górników znane „młynki”, które na skutek olbrzymiego nacisku z góry łamią jak zapaliki najlepsze zabezpieczenia drzewne, grzebiąc z ogromnym hukiem pod sobą wszystko. Dzieje się to częstokroć tak nagle, że zagrożeni górnicy nie mają, już czasu schronić się w bezpieczne miejsca i zostają przez spadające zwały kamienne zmiażdżeni, lub co najmniej ciężko pokaleczeni.

Koniec.

WÓJCİK JÓZEF

Zwyczaje związane z Zielonymi Świątkami w okolicy Dąbrówki Wielkiej

W Wielkiej Dąbrówce istnieje ciekawy zwyczaj, związany ze Zielonymi Świątkami. Zwyczaj ten, zwany „skodaniem” ma być pamiątką ostatniego wspólnego zebrania się w Wieczerniku

apostołów przed ich rozejściem się w świat.

W piątek przed Zielonymi Świątkami zbiera się kilkunastu, (zazwyczaj dwunastu) chłopców, którzy postana-

wiają urządzić sobie składkową ucztę wieczorną. Składka jest różnej wysokości, zależnie od tego, co ma być podawane na przyjęciu. Wynosi ona przeważnie 50 gr. Pieniądze zbiera najstarszy z chłopców, który ma za zadanie zakupić wszystkie rzeczy potrzebne do wieczorku. Wszyscy inni strają się o ozdobienie izby, w której ma się to wszystko odbyć. W sobotę więc idzie paru chłopców do łęgu na tatarak czy lilie wodne i polne kwiatki, które są nieodłączną dekoracją, związaną z Zielonymi Świątami. Wieczorem, tego samego dnia, ozdabiają izbę oblicie przyniesionym tatarakiem i kwiatkami. Najstarszy zaś zakupione łakocie daje do przechowania zaufanej osobie, która ma się zająć przyrządzeniem wszystkiego. Czasami rodzice sami dają synom pieniądze na tę uroczystość, przez co wieczorek staje się bardziej wystawnym. Teraz opiszę, co się na stół podaje. Na sam początek podaje się czekoladę gotowaną i ciastka albo kołacz. Potem daje się lemoniadę, która powszechnie u nas nazywa się sinalkiem. Kieliszek po kieliszku chłopcy popijają lemoniadą, naśladując przez to ucztę starszych. Później każdy opowiada jakąś bajkę, a gdy ją opowie otrzymuje za to parę cukierków. Kto opowie najlepszą bajkę otrzymuje wartościowy podarunek, n. p. czekoladę lub coś podobnego. Gdy każdy już bajkę powiedział, wtedy na stół podaje się sałatę z ziemniakami i pieczone mięso lub kotlet. Na koniec każdy otrzymuje szklanekę gorącej herbaty i bułkę z masłem. Jeżeli z cukierków jeszcze coś zostało to na odchodne każdy dostaje znowu parę cukierków. Tyle co do potraw.

Teraz opiszę jak cała „uroczystość” wygląda, brałem bowiem w niej udział zeszłego roku. W drugie święto Zestania Ducha św. każdy wstaje jak najwcześniej z łóżka, niecierpliwie oczekując mającej się odbyć dopiero wieczorem ucztę.

O umówionej godzinie każdy z chłopców stawia się na podwórzu domu, w którym ma się odbyć podwieczorek. Najpierw wszyscy ustawiają się jakby do raportu, a wówczas wychodzi najstarszy z gromady i zaprasza wszystkich do przygotowanej sali. Wszyscy prędko pędzą do pokoju, aby im miejsca nie brakło. Ale jakoś dla wszystkich miejsca starczy, tylko że muszą się bardzo ścieśnić. Teraz dopiero każdemu rozwiązuje się język. Skoro jednak zobaczą, że pierwsze danie się zbliża i że kucharka już coś niesie, zaprzestają gadać i każdy tylko śledzi, komu więcej należy czekolady do filiżanki. Teraz dopiero wszyscy czują się w swoim żywiole. Kto pierwszy zje, ten zwykle opowiada coś śmiesznego. Zaczyna więc Zeflik. Posłuchajmy jego opowiadania: „Wzięcie co? Jo toch sie niny móg dockać wieczora, a w nocy toch coś trzy razy wstowoł. Patrza na budzik, a tu dopiwo pół drugi, dugoch sie tyż nie szpilcył inoch wzion i budzik o 2 godziny naprzód pocis, boch myśloł, że to pryndzy rano bydzie. Matka to zawsze wstawom o pionty, jak budzik zwoni. No i dzisiok budzik zazwonił 2 godziny pryndzy. Matka wstali i choć bardzo tymu budzikowi nie dowierzali, powiedzieli jak piynć to piynć, trza wstać, więc i łogień słozyli, krowy wydoiyli, kawy nawarzyli, a tu na kościele dopiero piynć zwoni.

Rano jakech wstoł matka sie zacił pytać, chtóry tyn żygor pocis naprzód. Dugoch sie nie szpilcył, ino pedził, że to jo. Matka sie ino łosmioli i nic nie pedzieli. Wszyscy obecni na podwieczorku również się uśmiali. Wicek to już aże czkawki dostał i musioł ją prędko lemoniadą zapić. W ślad za Wickiem poszli inni i teraz zaczyna się pijatyka na akord. Każdy wychyla kieliszek po kieliszku, zagryza sucharkiem, mrucząc coś pod nosem. Kilku nawet udawało pijanych, śpiewając przy tym piosenkę:

„Germany, germany, coście poro-

byli, żeście na Górnym Śląsku ludzi cyganiyli".

Potem zaśpiewali jeszcze jedną piosenkę, której słowa przytoczę:

„Jeden, dwa, trzy, śtyry, piynć, sześć, siedym, łosym, dziewiyńć i dziesiyńć. — —

Jedenasta godzina, przyniosła nam nowina,

U jednego leśniczego służyła tam Karolina.

Chodzyli tam leśnicy, ale jesce nie wszyscy..."

Gdy tę piosenkę skończyli, zanucili inną:

„Kulało sie kulało jabko po ulicy" ale wszyscy inni nie dali mu dokończyc. Każdy miał opowiedzieć jakąś bajkę. Nagrodę w postaci cukierków dostał Erwin, bo jego bajka najlepiej się podobała. Posłuchajcie więc z uwagą, co za bajkę opowiedział Erwin:

„Roz trzech chłopów miało sie wybrać po piyniądze na smyntorz do kośnicy, chtore to piyniądze miały sie znajdować w trudni. Trudni tam było trzy, a w jednyj ino były piyniądze. Mie-li po nie przysć to godzinie dwanosty w nocy. Jedyń śnich chcioł te piyniądze soń se wziońć i wybroł sie po nie to jedynosty. Wzioń se ze sobom miech, baba pokropiyla go świynconom wodom i tak sie na tyn smyntorz wybroł. Wloz do kośnicy bez podrobiony sperchok. Tam łotworzył jedna trudnia, patrzy prozno, drugo, tako samo a dopiyo w trzeci znod te piyniądze. Nabroł pełny miech i przysed do chałupy. Baba jak łobocyła piyniądze zachciało ji sie wiyncy i wygnała chopa drugi ros, wiync chop i drugi ros przynios miech. Baba

jednak była niyłodbyto i wygnała chopa trzeci ros. Chop biere te piyniondze, ale w tym słysy jakeś tupanie. Patrzy bez łokiynko, a tam dwuch tompie z miechami. Wtedy wartko łotworzył jedna trudnia i do ni wloz stym miechem, we wtórym były piyniondze. Ci dwa zaś wleźli do kośnicy, a jedyn śnich pado „wiys ty co, my sie nie bydymy dugo bawić, ino weznymy do dom ta trudnia, chtoro bydzie najciyzso". Dźwiga-jom jedna, leko — drugo, leko. Idą do trzeci, — ta weznymy, bo jest ciynsko — pedzioł jeden śnich. W ty trudni lezoł, jak wiycie, tyn chop, co go baba wygnała trzeci roz po piyniądze. Więc ten chop, co w ty trudni był struchłoł i pomyśłoł se, ize to jus jest jego koniec. Nie stracił jednak przytomności, ino wartko łotworzył trudnia i śnij wyskoczył i gośno zawołoł: „Wstowejcie wszyjscy, coście pomarli, bo bydziecie dwóch żywych ze skóry darli". Ci, co ta trudnia niośli wystraszyli sie, puściyli jom i w nogi. Barzy jesce uciekali, jak łobejzeli, ize za niymi wtoś leci, bo myśleli, izech jeich, jaki umarli goni, to tyz ani niy wiedzieli, jak i kej sie w doma znodli. Rano wcas opowiadajom to tym trzeciymu, a łon słuchoł jich z uwagom, jakby nic o tym nie wiedzioł. „Dwie dziurki w nosie i skońcyło se". Skońcył Erwin. Wszyjscy Erwinowi przyznali pierwszą nagrodę. Teraz każdy chcioł odegnać tę myśl o kośnicy, to też wszyscy zajadają smacznie sałatę i mięso.

Na sam koniec jeszcze każdy dostał herbatę, bułkę i parę cukierków, a potem wszyscy rozeszli się do swoich domów.

Dział opiekunów

DR. JAN MONIAK.

Zagadnienia geograficzne w wycieczkach krajoznawczych

Określając krajoznawstwo jako naukę o kraju ojczystym, a raczej zbiór pewnych wiadomości o nim, zaczerpniętych z różnych nauk, trudną jest rzeczą (zwłaszcza o ile chodzi o zagadnienia metodyczne) traktować krajoznawstwo jako całość. W tym wypadku wysuwa się konieczność wyodrębnienia poszczególnych działów, jak geograficznego, historycznego itd.; w zależności więc od poszczególnych przedmiotów, można dopiero opracować metodę pracy krajoznawczej. Możliwe, że dopiero po dokonaniu tych czynności, skryształizuje się jakaś odrębna metoda krajoznawstwa.

Jak długo nie mamy za sobą wspomnianego etapu pracy, siłą rzeczy będziemy musieli błądzić po mallowcach.

W niniejszym artykule pragnęlbym dać tylko ogólne wskazówki teoretyczne do pracy w tym kierunku.

Jak do każdego wycieczek, tak i do krajoznawczych musi mieć młodzież pewne przygotowanie, by odniosła z nich korzyść.

Przygotowaniem tym będą krótkie 1—2 godzinne przechadzki, podczas których młodzież starsza (gimnazjalna) zapozna się z mapą 1:100.000, zaś uczniowie szkoły powszechnej tylko z formami terenu.

1. Pierwszym celem dłuższych wycieczek będzie poznanie krajobrazu geograficznego w całym

znaczeniu tego słowa, t. j. poznanie związków, jakie zachodzą między zjawiskami fizycznymi - geograficznymi, biologicznymi i antropo - geograficznymi, jak nawzajem na siebie oddziałują i jak są od siebie uzależnione. Oczywiście, że w wyniku tych rozważań, będzie działalność człowieka na tle omawianych zjawisk geograficznych.

2. Na podstawie powyżej przeprowadzonej analizy, będzie można dany krajobraz sklasyfikować, t. j. określić ogólnie jego wiek według nomenklatury geomorfologa W. M. Dawisa krajobraz: a) młody, b) dojrzały, c) stary, na podstawie zaobserwowanych, charakterystycznych jego cech.
- a) **Młody:** O silnym spadku rzek z erozją wgłębną i wsteczną, prostym ich biegu, o dnie kamiennym, z wodospadami lub kataraktami, formami śmiałymi i ostrymi ze znaczną wysokością względną, dolinami wąskimi, głębokimi i wysokimi działami wód.

b) **Dojrzały:** Z meandrującymi rzekami, o dnie płaskim, zwirowym lub piaszczystym, jarami (w krajach płytowych), silną erozją boczną, z formami falistymi, obłymi dolinami, szerokimi, o małym spadku i małymi różnicami wysokości względnych (góry stare), często z bardzo skomplikowaną siecią wód.

c) **Stary:** Speneplenizowany, o

- bardzo wolnym spadku rzek o dnie namulistym ze zjawiskami akumulacji.
3. Od czego jest zależna sieć wodna? (klimat, podłoże, ukształtowanie terenu).
 4. Jaka jest zależność fauny od klimatu, ukształtowania terenu i gleby?
 5. Na podstawie powyższych rozważań możemy dążyć do osiągnięcia ważnego celu, a mianowicie, wyrobienia t. zw. zmysłu geograficznego, który polegać będzie na umiejętności kojarzenia zjawisk i zrozumienia wzajemnego spłotu przyczyn i skutków, składających się na krajobraz geograficzny.
 6. Dalszym etapem będzie wydzielenie lub rozpoznanie danej krainy geograficznej t. j. obszaru, mającego wspólne cechy i wyróżniające się nimi.
 7. Przy tym pamiętać należy, by unikać goślośności. Dla tego naszą analiza musi być poparta chociażby najprostymi pomiarami, porównaniami, obliczeniami, sprawdzaniami, szkicami itd. a przede wszystkim mapą topograficzną (w szkole średniej). Tu zasadą winno być: zrobić raczej mniej, ale dokładnie.
 8. Wycieczka nie powinna się nigdy odbywać w „nieznane”. Wprost przeciwnie, powinna poprzednio być wyznaczona wyraźnie tura i w związku z nią rozdane zagadnienia dla poszczególnych grup uczniowskich.
 9. W całej rozciągłości stosuje się zasadę historyczną lokalizacji (użycie mapy), współzależność zjawisk i przyczynowości.
 10. O ile chodzi o metodę traktowania poszczególnych zjawisk, jak i całokształtu zagadnień w krajo-
- brazie, to dobrze jest stosować metodę genetyczną w sposób indukcyjny, na którą złoży się: a) analiza, pochodząca z sądów jednostkowych, b) wyprowadzenie sądu ogólnego. Oczywiście nie należy przez cały czas wycieczki zamęczać młodzieży analizą zjawisk, ale tylko wyjątkowo przy bardziej interesującym zjawisku.
11. Robienie zbiorów będzie nieodzowną częścią i jedną z realnych korzyści z wycieczki. Na nie składać się będą: a) skały z dokładnym oznaczeniem miejsca i ewent. rejestrem na mapie 1:100.000, b) szkice z okolicą tak planowe jak i perspektywiczne, c) szkice z odkrywek (układ pokładów, nachylenie, jakość i miąższość), d) szkice budownictwa, e) szkice i okazy folkloru, f) notatki, dotyczące narzecza i gwary, g) mapy 1.100.000 z zainwentaryzowanymi najważniejszymi cechami regionalnymi, dotyczącymi krajobrazu geograficznego.
 12. Należałoby zwrócić szczególną uwagę na antropocentryczne nastawienie całej wycieczki przez skierowanie zainteresowania uczniów na następujące zagadnienia: a) czy i o ile człowiek zmienia pierwotny krajobraz geograficzny, b) o ile jest zależny od warunków geograficznych wzgl. czy się od nich częściowo chociaż zdołał uniezależnić? c) na czym polega wysiłek człowieka w danym regionie i w czym się koncentruje? d) czy zdołał wszystkie warunki i bogactwa naturalne wykorzystać? O ile nie, to co stoi na przeszkodzie? e) jaka ludność pod względem języka czy też narzecza plemiennego zamieszkuje tenże obszar, jakie są jej właściwości dodatnie względnie ujemne?

Trzeba jednak uprzytomnić sobie, że byłoby niemożliwą rzeczą podczas jednej wycieczki z młodzieżą szkolną zrealizować wszystkie wymienione dezyderaty oraz wszystkie zagadnienia omówić. Dla tego najtrudniejszą rzeczą dla prowadzącego

będzie wyeliminowanie mniej ważnych, a omówienie tylko najbardziej znamienitych zjawisk dla danego regionu.

Jakie korzyści odniesie młodzież z wycieczki, w ten sposób obmyślanej, jest rzeczą jasną.



Każdy uczeń powinien składać swe Oszczędności w Szkolnej Kasie Oszczędności

Wydawca: Koło Krajoznawcze Gimnazjum Klasycznego w Chorzowie
za komitet redakcyjny: dr. Jakubowski Józef,
za redakcję odpowiedzialny: dr. Jakubowski Józef
za komitet administracyjny: Kolny Ludwik, Wanat Leon i Morgała Norbert
Odbito w „Drukarni Narodowej” Chorzów I., ul. Krzywa 14 — Telef. 406-62

Wykaz podstawowej literatury dla kierowników pracy krajoznawczej

Celem niniejszego zestawienia jest zorientowanie czytelnika w podstawowej literaturze, dotyczącej krajoznawstwa. Przy czym zaznaczyć należy, że dla orientacji w krajoznawstwie śląskim będą posiadały ogromne znaczenie wydawnictwa Instytutu Śląskiego, oraz Wykaz literatury bieżącej o Śląsku, wydawany przez Komitet Redakcyjny Bibliografii Śląskiej przy Bibliotece Sejmu Śląskiego.

LITERATURA:

- 1) Moszyński Kazimierz: **Kultura ludowa Słowian. Część I. Kultura materialna; część II. Kultura duchowa.** Kraków. Pol. Akad. Umiejętności.

Układ całości prosty, autor zamierza przedstawić całokształt kultury ludowej Słowian, zaczynając od kultury materialnej, następnie systematyzując kulturę t. zw. duchową i wreszcie społeczną. Autor kładzie przede wszystkim nacisk na zjawiska stare, pierwotne, pomijając szerokie zakresy tradycji później powstałych.

- 2) M. Dynowska: **Polska w zwyczaju i obyczaju.** Gebethner i Wolff. — Kraków 1928, str. 437.

Książkę tą można uważać za wypisy etnograficzne dla kółek krajoznawczych. Omówiono w niej prawie wszystkie zwyczaje i obyczaje ludu polskiego na podstawie dotychczasowych źródeł. Książka nie może jednak być kompletną, nie może wyczerpywać zagadnienia, lecz jest cenną w pracy krajoznawczej, ponieważ orientuje, co już jest znane, a co jeszcze nie znalazło swego konserwatora, co więcej orientuje w tym co jest miejscowe, a co pochodzi z innego regionu.

- 3) Zwolakiewicz Henryk: **Przewodnik nauczyciela ludoznawcy.** Lublin 1934,

str. 128. Skład główny: „Nasza Księgarnia” Sp. Akc. Z. N. P.

Całość podzielona na 2 części, z których pierwsza wprowadza w zagadnienie ludoznawstwa, obejmuje wskazówki metodyczne i bibliografię. Natomiast część druga zawiera kwestionariusze, które mają służyć do systematycznych badań. Po każdym kwestionariuszu umieścił autor literaturę regionu lubelskiego i ogólnopolską.

- 4) Praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana: **Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku.** Katowice 1936. — str. 525.

Nieziarna cenna ta publikacja omawia następujące działy: geologię, botanikę, zoologię, geografę, kartografię, antropologię, etnografię, językoznawstwo, piśmiennictwo, prehistorię, historię, historię sztuki, stosunki społeczne i gospodarcze, stosunki prawne i stosunki demograficzne. Poszczególne zagadnienia są zaopatrzone wyczerpującym zestawieniem literatury.

- 5) Stieber Zdzisław: **Geneza gwar laskich.** Pol. Ak. Um. — Wydawnictwa Śląskie, Prace językowe, Nr. 2, Kraków 1934, str. 30, z mapą.

W niewielkiej rozprawie autor zajmuje się zagadnieniem pochodzenia i pierwotnego charakteru językowego gwar, t. zw. laskich, które stanowią ogniwo przejściowe między obszarem językowym polskim i czeskim, obejmując zachodni pas Śląska Cieszyńskiego, całą nieziemczoną część Śląska opawskiego, skrawek Moraw koło Freustatu i Stramberga, oraz część przedwojennego Śląska pruskiego na południe od Raciborza i Głupczyc.

(c. d. n.)

1-20p
Oszczędnością i pracą
Ludzie się bogacą,

a Ty

CZY NALEŻYSZ JUŻ DO S. K. O.?

Instytucja popularnego bezpieczeństwa

Komunalna Kasa Oszczędności

MIASTA CHORZOWA

zapewnia:

najwyższy procent i największe
bezpieczeństwo, gdyż za nią rę-
czy i odpowiada miasto całym
majątkiem i siłą podatkową.
Przyjmuje się wkłady oszczęd-
nościowe już od 1-go złotego.

Centrala:

CHORZÓW I, ulica Moniuszki (naprz. poczty)

Oddział:

CHORZÓW III, naprzeciw kościoła.

Kasa czynna:

od godz. 8 do 13 i od 17 do 19, w sobotę do godz. 12